

Teksty Drugie 1995, 2 , s. 71-78



W kręgu mitów polskich i obcych

Janusz Tazbir

jest cnotliwa, więc musi mieć historię), czy gdy charakteryzując żywotność prądów pisze, że „mają wmontowany licznik żywotności” (s. 157; taki licznik ma też każda historia literatury).

Ujmująca jest też postawa autorki: połączenie zdecydowanych sądów krytycznych – i to czasami wobec mistrzów: Kazimierza Wyki czy Henryka Markiewicza – ze skromnością i sceptycyzmem wobec własnych poczynań. Warto zacytować tu ostatnie słowa książki: historyk literatury „pozbawiony naiwnej pewności siebie (choć nie wolny od odpowiedzialności) jest postacią skromną. Proponuje swoją opinię, gotów w każdej chwili wysłuchać opowieści cudzej”.

Wiele z powyższych uwag wynika z mojej skłonności do polemiki, skłonności, która nas łączy – autorkę i recenzenta. Obie książki Teresy Walas, a także jej artykuły naukowe są dla mnie wyzwaniem w tym sensie, jakie ich autorka nadała temu słowu, a w rozwoju nauki liczy się tylko to, co jest wyzwaniem. Polemika jest tu więc równocześnie pochwałą.

Erazm Kuźma

W kręgu mitów polskich i obcych

Można zaryzykować twierdzenie, iż kryzys zaufania do polskiej humanistyki bierze się m.in. stąd, że nadal nie może się ona uwolnić od tych sądów, jakie sformułowało ubiegłe stulecie, w warunkach mało raczej normalnych. Wówczas to, odsuwając na bok profesjonalnych kapłanów Klio, wiedzy o przeszłości zaczęli nauczać malarze, różnego zresztą kalibru, autorzy powieści historycznych (z Sienkiewiczem na czele), przede wszystkim zaś wielcy poeci romantyczni, nie stroniący (przykładem Mickiewicz) od wykładania dziejów Polski przetkanych wiedzą o literaturze. Mało kto się wtedy przejmował formalnym podziałem na dyscypliny, granicami kompetencji czy zasadą fachowości. Tym samym piórem, co dzieła fachowe, historycy tworzyli dramaty (J. Szujski, K. Szajnocha i inni) czy powieści (W. Łoziński). Musi to się wydać czymś nader egzotycznym współczesnym twórcom, skoro dziś historycy *sensu stricto* nie czytają na ogół prac dotyczących dziejów literatury, a historycy sztuki kreślą tło

dziejowe epoki przeważnie bez oglądania się na studia przedstawiciele innych dyscyplin.

Stefan Treugutt (1925–1991), którego wszechstronną crudycję zawsze podziwiałem, należał pod tym względem do wyjątków. Obok innych badaczy dziejów literatury trafił do niedawno (sam schylek ubiegłego roku) wydanego *Słownika historyków polskich* (Wiedza Powszechna, Warszawa 1994). Jerzy Jackl, autor krótkiej, bo ograniczonej poetyką encyklopedycznego zapisu, notki biograficznej tak charakteryzuje jego dorobek: „Badając wpływ legendy napoleońskiej na polski romantyzm wkroczył w dziedzinę historii, stając się jednym z największych znawców problematyki napoleońskiej w Polsce”. I dalej czytamy, iż Treugutt był twórcą błyskotliwych studiów z tego zakresu, „wszystkie opublikowane łącznie w tomie *Geniusz wydziedziczony. Studia romantyczne i napoleońskie*”.

Cały ten tom¹ nosi charakter w dużym stopniu, można by rzec, okazjonalny: są to bowiem, przeważnie referaty wygłaszane na różnych konferencjach (a potem publikowane w księgach zjazdowych), jak również w rozmaitych czasopismach, od naukowych poczynając a na popularyzujących wiedzę o przeszłości („Mówią wieki”) kończąc. Mimo to ułożyły się one w dość koherentne ciągi, w których historyka będzie z natury rzeczy najwięcej interesować nurt legendy napoleońskiej.

Polska była, obok oczywiście przybranej ojczyzny Cesarza (bo prawdziwą stanowiła Korsyka), jedynym chyba krajem, w którym legenda ta rozkwitła tak bujnie. Historycy wiele już napisali na ten temat: czynił to przede wszystkim Andrzej Zahorski, również przedwcześnie zmarły (1992) badacz wysokiej klasy. Traktował on „napoleońskie ustalenia” Stefana Treugutta z wielką atencją (por. A. Zahorski, *Spór o Napoleona we Francji i w Polsce*); podobne opinie wyrażał Bogusław Leśnodorski. A przecież dwaj ostatni sięgali do zgoła innych rodzajów źródeł aniżeli autor studium *Napoleon Bonaparte jako bohater polskiego romantyzmu*.

Prawdą jest, że „trakt napoleoński” wytyczyły w świadomości historycznej Polaków pióra romantyków, choć żaden z nich nie poświęcił Bonapartemu większego utworu. Także żaden z badaczy cesarskiej

¹ S. Teugutt *Geniusz wydziedziczony. Studia romantyczne i napoleońskie*, red. M. Prussak, Warszawa 1993, IBL.

legendy (z Zahorskim i Treuguttem łącznie) nie zwrócił uwagi na ciekawy klucz interpretacyjny, który podsunął Jan Lechoń już przed ponad pół wiekiem (w wykładach o literaturze polskiej, wygłoszonych w 1940 r. w Paryżu). Poeta pisał, że zacny pan Rzecki należy do rodu powstańców, „którzy życie spędzali na wypatrywaniu w gazetach, czy jakiś nowy Bonaparte nie ruszy, ten, który nareszcie raz na zawsze zbije Niemców i Moskali”. W systemie narodowych szyfrów, które w okresie rozbiorów łamano z taką łatwością. Napoleon zajmował dość znaczące miejsce: był symbolem wiary w skuteczną, militarną interwencję Zachodu, który ponownie dopomoże (jak to miało miejsce w 1807 roku) w odbudowie niepodległego bytu.

Kim zaś był Bonaparte, tego nie trzeba było tłumaczyć narodowi, który w swym hymnie znalazł miejsce dla obcego wodza. Bo on to przecież nas uczył jak „zwycięzać mamy”. I na nic się zdała gorzka jak zwykle ironia Cypriana Norwida: „Kiedy kto w swojej Epopei Narodu sam wyśpiewuje, że dopiero nauczy go ktoś obcy, jak zwyciężać? — tedy naturalnie, że on z siebie wywieść tego nie umie”. Ale któż czytał Norwida w okresie zaborów? Z doświadczeń militarnych 1812 r. starano się korzystać w okresie powstania 1830–1831 r., czyniąc tak po obu stronach konfliktu. Przypomina o tym Stefan Treugutt w pięknym eseju *Tradycja napoleońska i powstanie listopadowe*, który również dobrze mógłby wyjść spod pióra historyka, co i badacza dziejów literatury.

Ale przecież krzepiące strofy narodowego hymnu pozostawały w gorzkiej sprzeczności ze stosunkowo niedawnym doświadczeniem historycznym. W uszach generałów, którzy tak niechętnie przystępowali do powstania i z takim brakiem wiary w zwycięstwo je prowadzili, brzmiały one zgoła inaczej: „Dał nam przykład Bonaparte, że z caratem nie sposób zwyciężyć”. Wojnę polsko-rosyjską 1813 r. przegrano już na śnieżnych polach bezkresnej Rosji, a więc w r. 1812 gdzieś pod Borodino i podczas pożaru Moskwy (podobnie zresztą jak i o kapitulacji Francji w 1940 r. zdecydowała bezsensowna rzeź trwająca w latach I wojny światowej). Rozwijam tu myśl Stefana Treugutta, który w zakończeniu szkicu o powstaniu listopadowym pisze, iż „pełnymi entuzjazmu, świetnymi żołnierzami armii powstania dowodzili (...) świadkowie klęski legendarnego geniusza wojny”. Ileż twierdzeń zawartych w jego fascynującej książce dałoby się szerzej

rozwinąć, ileż też, denerwujących nieraz swą lakonicznością, podnieść do rangi osobnego eseju.

O powstaniu listopadowym napisano już całą bibliotekę. Ale chyba Stefan Treugutt pierwszy zwrócił uwagę (s. 45–46), iż ówczesna przegrana była czymś więcej aniżeli klęską kolejnej insurekcji. Do niebytu została zepchnięta ta forma polskiej państwowości, jaką zdołano odbudować po r. 1807. Cóż z tego, że najpierw zależna od Paryża (Księstwo Warszawskie), a później podległa St. Petersburgowi (Królestwo Polskie). Ale przecież z własną armią, rządem i administracją, ze świetnie postawionym szkolnictwem, istniejącym także na tak zwanych ziemiach zabranych, których polonizacji skutecznie służyło. Szkoły te musiały być niezłe, skoro w nich właśnie wykształciła się intelektualna elita polskiego romantyzmu.

Poza żyjącymi przez wieki w diasporze Żydami nie ma chyba innego narodu, który by, jak to właśnie czynią Polacy, włączył literaturę powstałą na emigracji do podstawowego kanonu lektur szkolnych, najpierw w autonomicznej Galicji, później w II Rzeczypospolitej i w Polsce Ludowej. Sporo racji jest w opinii Michała Głowińskiego, którą można przeczytać na „skrzydełkach” książki Treugutta, iż był on „komparatystą, literatura polska stanowiła w jego ujęciu część literatury europejskiej, odwoływał się (...) do wspólnych mitów”. Równocześnie jednak omawiany zbiór studiów jest dziełem niesłychanie polskim, o czym jego autor nie pozwala nam ani na chwilę zapomnieć. I to nie tylko dlatego, że wspomina o tradycji barokowo-sarmackiej (*Księżę niezłomny na murach Baru*), którą romantyzm był tak mocno podszyty. Jakże wspaniale czuje i rozumie ów dawny świat w *Złotej czaszce* Juliusz Słowacki, ten sam, który w tak operetkowy i skłaniający dziś do śmiechu wszystkich mediewistów sposób ukazał średniowiecze w *Zawiszy Czarnym*.

Po „epoce” przekładów, jak śmiało możemy nazwać polskie Oświecenie, znów nastąpił okres literatury oryginalnej, niełatwo zrozumiałej nawet dla osób znających nasz język (przed laty byłem w Paryżu świadkiem rozpaczy francuskich slawistek, którym kazano czytać na seminarium *Anhellego*). Wykrztuśmy wreszcie z siebie prawdę, którą Stefan Treugutt, sam zafascynowany literaturą romantyczną, dość często umieszcza między wierszami. Jej najświetniejsze dzieła tworzyli ludzie sfrustrowani, znerwicowani i poddawani przez historię kolejnym szokom.

Ostatnio spotykamy się z poglądem, iż tak szybki rozpad legendy „Solidarności”, autodestrukcja jej mitu był czymś wyjątkowym w długiej historii polskich legend narodowych. Ale przecież już owe „potępięncze swary”, od których pragnął uciec Mickiewicz w sielski świat Sopolicowa, stanowiły rozbijanie mitu listopadowej nocy. Podobnie jak dziś obchodom kolejnych rocznic wprowadzenia stanu wojennego, tak ongiś niemal każdemu spotkaniu, które upamiętniało wydarzenia z 29 listopada 1830 r., towarzyszył skandal polityczny. Przypomniwał o tym niedawno Krzysztof Rutkowski w świetnie napisanym pamflecie (co tu ukrywać) na emigrację, a zwłaszcza na księży zmartwychwstańców: *Stos dla Adama albo kacerze i kapłani* (Warszawa 1994). Geniuszem wydziedziczonym Treugutt nazywa Zygmunta Krasieńskiego, ale za takich właśnie wydziedziczonych geniuszy uważała się znaczna część emigracji szlifującej paryskie bruki. Wystarczy otworzyć dowolny pamiętnik, aby się przekonać, iż tętniąca życiem stolica Francji z kanionami wąskich ulic biegnących wśród rzędów wysokich kamienic, musiała się przybyszom z Korony i Wielkiego Księstwa wydawać istnym Babilonem. Stefan Treugutt przypomina, że za Ludwika Filipa Paryż liczył ponad milion mieszkańców, a więc, dodajmy, więcej aniżeli ludność wszystkich znaczniejszych „metropolii” nie istniejącej już Rzeczypospolitej razem wzięwszy. Moloch ów był zamieszkały przez ludzi w znacznym stopniu obojętnych na narodowe nieszczęścia Polaków, którzy nawet pili na swój własny patriotyczny sposób. „Polak prawdziwy, kiedy się upije, wspomni ojczyznę i płaczem zawyje” – pisał Słowacki (*Poema Piasta Dantyszka*). Wszystko im się kojarzyło z utraconą ojczyzną, od starożytnego Rzymu poczynając (por. piękny szkic Treugutta *Wzniosłość w „Irydionie”*), a na podbojach i „rozbiorach” obu Ameryk kończąc.

Nie darmo Mickiewicz spoglądał obojętnie na uroki Bosforu, z fascynacją natomiast oglądał w Stambule wysypiska śmieci, jakże przypominające mu otoczenie żydowskiej karczmy na Litwie. Rozumieli te nastroje niemieccy entuzjaści pokonanych Polaków: od utworów im poświęconych zaroilo się wówczas w literaturze naszych sąsiadów. Treugutt, w ślad za niemiecką badaczką (Annelise Gerecke) twierdzi, iż napisano wtedy ponad tysiąc wierszy poświęconych powstaniu listopadowemu. Sceptyk może oczywiście dodać, że jeszcze więcej napisano owych utworów, niewysokiego raczej lotu, po odsieczy Wiednia (głównie powstawały one we Włoszech), ale ich autorzy

mogli wówczas liczyć na rewanż w dukatach. Tymczasem niemieccy poeci tworzyli swe rymowanki bezpłatnie, podobnie jak i bezpłatnie zafundowała właścicielka luksusowego domu publicznego we Frankfurcie nad Menem wizytę tamże grupie polskich oficerów, udających się z Prus do Francji. Jeśli wierzyć pamiętnikarzowi (był nim niejaki Józef Alfons Potrykowski) panienki ubrano na biało i przepasano amarantowymi szarfami, a w trakcie wieczoru grano Mazurka Dąbrowskiego...

Nastroje euforii szybko jednak minęły i przybysze wychowani w kręgu kultury rustykalnej musieli się powoli adaptować do mieszkania w wielkim mieście. Przychodziło im to z wielkim trudem: niemal wszystkim straszliwie doskwierał brak pieniędzy, każący obywać się bez służby, a często i bez jedzenia, zmuszający do wynajmowania wspólnych mieszkań, co ułatwiało zaglądnienie sąsiadom do garnków i do — łóżek. Przede wszystkim jednak doskwierał im brak przestrzeni stanowiącej w ojczyźnie jakże skuteczną warstwę izolacyjną. Wśród szlachty od pokoleń występowali dziwacy, o których Mickiewicz napisze, że są niezbędni w rewolucjach. Większość z nich mieszkała jednak we własnych majątkach, skąd wyjeżdżali rzadko i raczej niechętnie. Klęska powstania listopadowego sprawiła, iż te wszystkie rogate dusze spotkały się w wielkich miastach. A już z badań nad szczyrami wiadomo, że ich stłoczenie rodzi agresję. Raz po raz wybuchwały pojedynki, nie kłaniano się sobie na ulicach, nie zawsze zresztą pamiętając z jakich powodów nie należy tego czynić.

Pisze o tym wszystkim cytowany Krzysztof Rutkowski: jego książka ukazała się już po śmierci Treugutta, podobnie jak i wiele innych prac poświęconych legendzie napoleońskiej oraz dziejom naszego romantyzmu. Znaczną ich część autor bez wątpienia „skonsumował” w swoich studiach, trudno to jednak stwierdzić kategorycznie. Przypisy zostały bowiem ograniczone do minimum, a i tak niektóre z nich dodała redakcja. Sam Treugutt hołdował raczej francuskiemu stylowi (ascetyzm odsyłaczy), aniżeli niemieckiemu, w którym o uczoności dzieła decyduje ich liczba. W konsekwencji właściwy tekst biegnie niekiedy wąską strużką u góry publikacji, dół przeznacza zaś autor na roztrzaskanie „pawiego ogona” swej prawdziwej i fikcyjnej erudycji.

Miłośników Treugutta, pamiętających go ze szklanego okienka telewizora, znaczna część studiów zawartych w omawianym tomie może w pewnej mierze rozczarować. Są one bowiem adresowane raczej do

fachowców, wśród których badacze i miłośnicy polskiego romantyzmu stanowią sporą grupę. Inna sprawa, że przeżywającą aktualnie wyraźne frustracje. Jak wiadomo, Polska Ludowa wykład dziejów kultury i literatury starała się podporządkować zasadzie „ideologicznego przekładańca”, w którym epoki „reakcyjne” miały być przedzielane „postępowymi”. Do tych pierwszych zaliczano średniowiecze, barok i romantyzm, do drugiej grupy przedostało się odrodzenie, oświecenie i pozytywizm. Tymczasem w praktyce największą popularnością, obok kultury sarmackiej (pojmowanej bardzo szeroko), cieszyła się właśnie wielka poczują romantyczna.

Podobnie jak po Nocy Listopadowej mawiano, iż Słowo stało się ciałem, a Konrad Wallenrod Belwederem, tak romantyczne manifesty na temat prawa jednostki i narodu do wolności stały się sztandarem ideowym zbuntowanych intelektualistów oraz stoczniovców. Obecnie jednak maleje podobno zaklęty czar owej poezji. Maria Janion twierdzi, iż na naszych właśnie oczach symbole i paradygmaty romantyzmu kończą swe panowanie. Czyżbyśmy naprawdę byli świadkami schyłku kultu pewnej epoki naszej literatury, studiowanej przez kolejne generacje bellerów — gimnazjalnych i akademickich, niemalże na klęczkach. I to tak gorliwie, że często na niej kończyli wykład historii literatury, choć matura była na karku (pisałem o tym w młodzięcym, a zbuntowanym artykule w rok po jej zdaniu: *Anno domini* 1948, w „Płomieniach”).

Omawiany zbiór studiów na pewno jednak nie był pisany na kolanach: ich autor zdawał też sobie świetnie sprawę z tego, iż zajmuje się utworami, które mało kto już dziś zwykł czytać. Kto sięgnie po *Irydiona*, *Króla-Ducha* czy *Konfederatów barskich*? To samo zresztą da się powiedzieć o całej poetyckiej twórczości Kajetana Koźmiana: natomiast jego pamiętniki, ale te pełne, nieocenzurowane, jakie ukazały się dopiero w naszym stuleciu, stanowią — moim zdaniem — wręcz pasjonującą lekturę. Kult Mickiewicza, tak wnikliwie przez Treugutta analizowany, sprawił, iż w poprzednich edycjach wycinano z nich fragmenty uznane wręcz za bluźniercze. Koźmian zaś pisał, że autor *Reduty Ordona* podburzał nierozumnie do walki. Ale gdy ta wybuchła, uciekł za granicę, gdzie układał „jadem i zuchwałością zaprawione pieśni, szczekał w nich na wszystko, co tylko towarzystwo ludzkie czi i szacuje”. A przesyłając owe „bezbożne bazgraniny do kraju, ileż nowych nie narobił ofiar” — pisał Koźmian.

Talent „wielkiego tłumacza kultury” (bo tak chyba można określić telewizyjną działalność Stefana Treugutta) sprawił, iż o arcynudnych, mówiąc szczerze, odach najpierw pro- a następnie antynapoleońskich Koźmiana potrafił napisać w sposób tak bardzo interesujący i odkrywczy. Zwalniając nas przy tym zarazem od obowiązku ich ponownego czytania. Z ustaleń Treugutta wynika zresztą wyraźnie, iż oddawanie dworskiego pióra w służbę kolejnych władców i sprzecznych ze sobą ideologii nie stanowi wcale wynalazku naszego stulecia. Jeszcze grubszą opowieść o „hańbie domowej” dałoby się napisać na podstawie utworów poetyckich czy publicystycznych, powstałych najpierw w okresie Księstwa Warszawskiego, a następnie w latach Królestwa Polskiego.

Cóż mówić o wierszokletach w rodzaju osławionego Molskiego („Idzie Molski, w ręku oda, dla Chrystusa, dla Heroda, a za pasem wierszy trzysta dla przyszłego Antychrysta”), skoro nie lepiej poczynali sobie luminarze naszej kultury. Wystarczy przypomnieć wypowiedzi Staszica na temat Polski jako przedmurza, broniącego Europy przed Moskałami. Kiedy Królestwo znalazło się pod berłem cara, przeczorny statysta zamienił ich na „Kałmuków”, którzy nigdy przecież naszych ziem nie najeżdżali. Nie każdy okazał się równie przeczorny, co kahał poznański, który w 1806 r. w hymnie sławiącym Napoleona z patosem iście biblijnym w ostrym tonie piętnował jego wrogów: „chciwych wyspiarzy” zamieszkujących „okrutny Albion” oraz Aleksandra. Kiedy się jednak bliżej wczytamy w tekst panegiryku, to się okaże, że przezorni Izraelici natrzęsają się z Aleksandra... Macedońskiego. Wygrążając dalekiej Anglii nie wspomnieli zaś ani słowem o niedawnych władcach, czyli Prusakach.

Choć znaczną część studiów, esejów i szkiców zawartych w książce Stefana Treugutta znałem już wcześniej, przeczytałem je na nowo z wielkim zainteresowaniem i to jako dzieło kolegi po fachu. Po stokroć słusznie znalazł się we wspomnianym *Słowniku historyków polskich*. I jaka szkoda, iż nie zdążył ukończyć studiów nad legendą napoleońską, widzianą z perspektywy nie tylko jednego czy nawet dwóch krajów (Francji i Polski). Tym bardziej, że wśród innych zalet posiadał również talent syntetycznego ujmowania zagadnic, dar wśród humanistów coraz niestety rzadszy.

Janusz Tazbir